

Paryż, sobota nocą

Czy chodzi Pani na spacer w innych miastach i z innym mężczyzną? Lubi Pani, gdy on szuka Pani dłoni, aby zamknąć delikatnie w swojej, czy prosto podaje mu ją, aby nie ryzykować rozczarowania, że on mógłby wcale jej nie szukać? A może dla feministek spacerujących z mężczyznami inicjacja spotkania dłoni to także element walki płci? Jeśli tak, to o co? O pierwszeństwo w przyzwoleniu na dotyk czy o pierwszeństwo w oczekiwaniu na jego pragnienie? A może feministki na spacerach ze swoimi mężczyznami nie potrzebują dotyku? Potrzebuje Pani dotyku w trakcie spaceru? Myślałem o tym podczas lotu z Frankfurtu nad Menem do Paryża, czytając artykuł sztandarowej niemieckiej feministki Alice Schwarzer, która w tygodniku „Die Zeit” z października 2003 roku napisała, że „mężczyźni, którzy mają władzę, są erotyczni, podczas gdy kobiety posiadające władzę są niekobiece (niem. unweiblich)”. Pani posiada władzę. Kreuje Pani poprzez swoje książki, oraz wykorzystując media, w których jest Pani nieustannie obecna, określone wzorce. Możliwość kreowania wzorców i wpływanie na postawy ludzi to dla mnie kwintesencja władzy. W tym sensie dla mnie ma Pani władzę. Jest Pani przy tym ogromnie erotyczna. I kobieca. W Pani przypadku więc Schwarzer się myli. Jest Pani dla mnie także zaprzeczeniem tego, co Schwarzer formuluje jako główną tezę swojego artykułu: „Kobiety muszą się zdecydować, czy chcą mieć władzę, czy być pożądanymi i kochanymi”. Potem na trzech kolumnach, drobnym drukiem, dowodzi, że ma absolutną rację. Robi to w taki sposób, jak oduby dowodziła prawdziwość przykazań w feministycznym Dekalogu.

**MAŁGORZATA DOMAGALIK**

**JANUSZ L. WIŚNIEWSKI**



**188 DNI I NOCY**

Warszawa, niedziela wieczór

To, co Pan napisał, nieco mnie zaskoczyło, ale i w jakimś sensie utwierdziło w przekonaniu, że jednak my kobiety znamy siebie najlepiej. Nigdy bowiem nie przychodziło mi do głowy, aby w czymkolwiek i a priori (i nie chodzi tu o grę wstępną) wyprzedzać mężczyznę, z którym byłam, a tym bardziej miałam zamiar być. Zawsze już na początku każdej znajomości chciałam wiedzieć, co mogę dostać – na przykład ciepłą dłoń na spacerze. Chciałam prawdy. A w tę wpisane jest przeciwieństwo ryzyko rozczarowania. Trzeba wiedzieć, czy na spacerze może zabraknąć nie tylko dłoni, ale i tożsamej duszy. Być może powie Pan, że jest w tym coś z asekurancją. Być może, zwłaszcza że na początku każdej znajomości karne punkty, które zdobywa kandydat na kochanka czy męża, właściwie nie boją. Nie ma więc i mowy o klęsce. Łatwo powiedzieć sobie wówczas: to nie ten. Było i nie będzie. *Adieu!* Dopiero po przebiegnięciu takiej „ścieżki zdrowia”, i już z tą ręką w ręce, można z beztrzęsą założyć na nos różowe okulary. Okulary miłości. Skoczyć z trampoliny uczuć na główkę w morze uczuciowego szaleństwa. To cudowne, prawda? Nie zapomniał Pan jeszcze? Tak czy inaczej, naprawdę ucieszyło mnie, że nie widzi Pan antagonizmu między władzą a kobiecością. Tyle tylko, że w związku, który zakłada poddaństwo jednej ze stron, kobiety albo mężczyzny, władza nie może być erotyczna. Pretekstem późnie przyniesie ze sobą niewolę. A ta podniecająca może być tylko dla tych, którzy w łóżku lubią być pasem pod pupie. Chociaż rzeczywiście istnieje taki rodzaj władzy, który w oczach kobiety, zwłaszcza tej niezależnej, wart jest poddaństwa. Dzieje się tak, gdy mężczyzna nie boi się kobiety silnej, gdy radość sprawiają mu jej sukcesy.

**Małgorzata Domagalik** – znana dziennikarka i autorka programów telewizyjnych. Redaktor naczelna miesięcznika „Pani”. Autorka książek: *Serce na sznurku* (1998), *Siostrzane uczucia* (W.A.B. 2001). Razem z Krystyną Koftą wydała *Harpie, piranie, anioły* (W.A.B. 1997), a z Januszem L. Wiśniewskim *188 dni i nocy* (2005) i *Między wierszami* (2008). Jest laureatką Nagrody Wiktora dla największej osobowości telewizyjnej.

**Janusz Leon Wiśniewski** – prozaik, doktor informatyki i doktor habilitowany chemii, wykładowca akademicki, ojciec dwóch córek: Joanny i Adrianny. Stworzył specjalistyczny program komputerowy, który stosuje wiele firm chemicznych na całym świecie. Współredaguje magazyn informatyczny w internecie, jest też... rybakiem dalekomorskim. Pracuje i mieszka we Frankfurcie nad Menem. Zadebiutował w 2001 roku powieścią *Samotność w sieci*, która pobiła wszelkie rekordy sprzedaży. W 2006 roku na jej podstawie powstał film oraz serial telewizyjny. Dużą popularnością cieszą się również kolejne książki Wiśniewskiego: *Zespoły napięć* (2002), *Samotność w sieci. Tryptyk* (2003), *Los powtórzony* (2004), *Intymna teoria względności* (2005), *Molekuły emocji* (2006), *Czy mężczyźni są światu potrzebni?* (2007) oraz wydane wspólnie z innymi autorami: *Martyna* (2003), *188 dni i nocy* (2005), *Arytmia uczuć* (2008). Jego książki były tłumaczone na język angielski, czeski, albański, rosyjski, chorwacki, litewski, bułgarski i wietnamski.

188 DNI I NOCY



MAŁGORZATA DOMAGALIK  
JANUSZ L. WIŚNIEWSKI

# 188 DNI I NOCY

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008  
Wydanie II  
Warszawa 2008

Świat nie tylko jest dziwniejszy, niż przypuszczamy,  
świat jest dziwniejszy niż każde nasze możliwe  
przypuszczenie...

J.B.S. Haldane (1892–1964), brytyjski biolog ewolucyjny



Czy chodzi Pani na spacer w innych miastach i z innym mężczyzną? Lubi Pani, gdy on szuka jej dłoni, aby zamknąć delikatnie w swojej, czy po prostu podaje mu ją, aby nie ryzykować rozczarowania, że on mógłby wcale jej nie szukać? A może dla feministek spacerujących z mężczyznami inicjacja spotkania dłoni to także element walki płci? Jeśli tak, to o co? O pierwszeństwo w przyzwoleniu na dotyk czy o pierwszeństwo w oczekiwaniu na jego pragnienie? A może feministki na spacerach ze swoimi mężczyznami nie potrzebują dotyku? Potrzebuje Pani dotyku w trakcie spaceru?

Myślałam o tym podczas lotu z Frankfurtu nad Menem do Paryża, czytając artykuł sztandarowej niemieckiej feministki Alice Schwarzer, która w tygodniku „Die Zeit” z października 2003 roku napisała, że „mężczyźni, którzy mają władzę, są erotyczni, podczas gdy kobiety posiadające władzę są niekobiece (niem. *unweiblich*)”. Pani posiada władzę. Kreuje Pani poprzez swoje książki oraz wykorzystując media, w których jest Pani nieustannie obecna, określone wzorce. Możliwość kreowania wzorców i wpływania na postawy ludzi to dla mnie kwintesencja władzy. W tym sensie dla mnie ma Pani władzę i jest Pani przy tym ogromnie erotyczna. I kobieca. W Pani przypadku więc Schwarzer się myli. Jest Pani dla mnie także zaprzeczeniem tego, co Schwarzer formułuje jako główną tezę swojego artykułu: „Kobiety muszą się zdecydować, czy chcą mieć władzę, czy być pożądanymi i kochanymi”. Potem na trzech kolumnach, drobnym drukiem, dowodzi, że ma absolutną rację. Robi to w taki sposób, jak gdyby dowodziła prawdziwości przykazań w feministycznym Dekalogu. Pomijając fakt, że przykazań nie trzeba dowodzić i że Schwarzer często w swoim rozumowaniu wpada w pułapki sofizmatów, to za



fenomen zmuszonych do aseksualizmu „kobiet u władzy” odpowiedzialnymi czyni mężczyzn. Zgodzi się Pani ze mną, że to nie jest prawda?

Myślałem o tym w samolocie, czytając „Die Zeit”. W pewnym momencie stewardesa oderwała mnie od artykułu, pytając, czego się napiję. Podała mi małą butelkę chardonnay, uśmiechnęła się do mnie i przesunęła swój wózek w kierunku ogona samolotu. Miała urodę Słowianki. Odwróciłem za nią głowę. Stała tyłem do mnie, nachylona nad wózkiem z butelkami, w granatowym przepisowym kostiumie Lufthansy, oferując napoje kolejnym pasażerom. W pewnym momencie musiała się wychylić, aby sięgnąć po butelkę na końcu wózka. Jej spódniczka odkryła srebrzysty pas koronek pończoch opinających uda oraz kawałek opalonego ciała nad pasem. Pomyślałem wtedy, że Alice Schwarzer pojmuje władzę w zbytym oderwaniu od rzeczywistości. Także tej na pokładach samolotów Lufthansy.

Przepraszam za tę długą dygresję. Wcale nie chciałem pierwszej nocy prowokować i rozmawiać z Panią o innych kobietach. Ani o Pani przyjaciółce Alice Schwarzer, ani o Dworkin, ani tym bardziej o stewardesach. Szczególnie w taką noc jak dzisiejsza...

Poszłaby Pani ze mną na spacer w Paryżu? Około północy? Na cmentarz?

W nocy pierwszego listopada cmentarze nie napawają lękiem. Jeśli była Pani kiedyś na cmentarzu w taką noc, to wie Pani, że jest to niemalże mistyczne przeżycie. Czasami wydaje mi się, że tym, czym dla żywych jest Wigilia, dla umarłych jest dzień Wszystkich Świętych.

Poszlibyśmy na szczególny cmentarz. Usytuowany niemal w centrum Paryża, rozciągnięty na ponad 43 hektarach, zamknięty za ponadtrzymetrowym murem.

Cmentarz Père-Lachaise. Dla niektórych Père-Lachaise to jedyny powód, dla którego warto przyjechać do Pary-

za. Niektórzy przyjechali tu tylko po to, aby umrzeć i być pochowanym na Père-Lachaise. Niektórzy tak żyli, aby zasłużyć na własny grób na cmentarzu Père-Lachaise. Bo ten cmentarz to podzielony na sektory panteon dusz. Grób tutaj to jak wpis do encyklopedii. Kiedyś zastanawiałem się, co mogłoby się dziać za murami tego cmentarza, gdyby jakiś natchniony poeta pod wpływem etanolu lub jakiejś mocniejszej psychodelicznej chemii na kilka godzin ożywił to miejsce. Może wtedy Jim Morrison z sektora N9 zaśpiewałby razem z Edith Piaf z sektora N5? Chopin z sektora M9 namówiłby na wspólny występ Sarę Bernhardt z sektora L7? Homoseksualista Oscar Wilde z sektora K5 uwodziłby heteroseksualnego Apollinaire'a z sektora J8? Czy Proust z sektora J8 i Balzac z sektora J9 umawialiby się na napisanie wspólnej powieści? A może Delacroix z sektora J9 żaliłby się Modiglianemu z sektora M5, że żył zbyt wcześnie, aby zostać impresjonistą?

Poszlibyśmy na ten cmentarz, aby się przekonać, że nie wolno nam tam wejść. Cmentarze zamykają w Paryżu przed zamknięciem banków. Byłaby Pani rozczarowana, prawda? Ja byłbym zawstydzony tym, że tego nie sprawdziłem. Mężczyzna powinien zabierać kobietę do miejsc, które jej obiecał. Szczególnie do tych, do których mieli dotrzeć nocą.

*Bien cordialement,*  
JLW

To, co Pan napisał, nieco mnie zaskoczyło, ale i w jakimś sensie utwierdziło w przekonaniu, że jednak my, kobiety, znamy siebie najlepiej. Nigdy bowiem nie przychodziło mi do głowy, aby w czymkolwiek i *a priori* (i nie chodzi tu o grę wstępną) wyprzedzać mężczyznę, z którym byłam, a tym bardziej miałam zamiar być. Zawsze już na początku każdej znajomości chciałam wiedzieć, co mogę dostać – na przykład ciepłą dłoń na spacerze. Chciałam prawdy. A w tę wpisane jest przecież ryzyko rozczarowania. Trzeba wiedzieć, czy na spacerze może zabraknąć nie tylko dłoni, ale i tożsamej duszy. Być może powie Pan, że jest w tym coś z asekurantwa. Być może, zwłaszcza że na początku każdej znajomości karne punkty, które zdobywa kandydat na kochanka czy męża, właściwie nie boją. Nie ma więc i mowy o klęsce. Łatwo powiedzieć sobie wówczas: to nie ten. Było i nie będzie. *Adieu!* Dopiero po przebiegnięciu takiej „ścieżki zdrowia”, i już z tą ręką w ręce, można z beztróską założyć na nos różowe okulary. Okulary miłości. Skoczyć z trampoliny uczuć na główkę do morza uczuciowego szaleństwa. To cudowne, prawda? Nie zapomniał Pan jeszcze?

Tak czy inaczej, naprawdę ucieszyło mnie, że nie widzi Pan antagonizmu między władzą a kobiecością. Tyle tylko, że w związku, który zakłada poddaństwo jednej ze stron, kobiety albo mężczyzny, władza nie może być erotyczna. Prędzej czy później przyniesie ze sobą niewolę. A ta podniecająca może być tylko dla tych, którzy w łóżku lubią dostać pasem po pupie.

Chociaż rzeczywiście istnieje taki rodzaj władzy, który w oczach kobiety, zwłaszcza tej niezależnej, wart jest poddaństwa. Dzieje się tak, gdy mężczyzna nie boi się kobiety

silnej, gdy radość sprawiają mu jej sukcesy, gdy wspiera ją w ambicjach i mówi: możesz być jeszcze lepsza. Taki mężczyzna prędzej czy później dostaje taką kobietę we własne ręce i staje się jej najbardziej pożądanym władcą. Czy jednak na całe życie? Tego nie wiem... Zresztą, co jest na całe życie?

Tak jak kiedyś mój ojciec, każdego roku zapalam światełka w Dzień Zaduszny. Nie na cmentarzu, ale gdzieś na łące, na jakimś tarasie... Tak jak mój ojciec, tyle tylko, że on siedł na parę godzin w góry i siedział tam tak długo, aż światełka gasły. Nigdy nie pytałam go, o czym myślał, za kogo się modlił. Nie zdążyłam. Wczoraj byłam na Powązkach. Chyba przyszłam za wcześnie. Gwar, jakiś brak skupienia i co rusz dzwoniące telefony komórkowe. W którą alejkę skręcić, w jakim miejscu doświadczyć mistycznego pojednania ze zmarłymi? I nagle tuż pod cmentarnym murem zobaczyłam grupę młodych ludzi. Całe mnóstwo zniczy. Podchodzę bliżej. Są radośni, rozmawiają o dziewczynie, która tu leży. Musisz ją pamiętać, była na roku z Jackiem, w lutym na prywatce u Doroty miała na sobie czerwoną sukienkę. Była w nich jakaś autentyczność, szlachetność i mimo że jeszcze nieprzeczuwana, ale jednak atencja wobec śmierci. No cóż, wiemy już, że cmentarz na Père-Lachaise zamykają o piątej, to może kiedyś, gdy bramy zostaną zamknięte, pójdziemy na kieliszek calvadosu? To takie nawiązanie do *Łuku triumfalnego*.

Pozdrawiam,  
MD

Domagalik nie chce „wyprzedzać mężczyzny”! Coś takiego! Nie sądzi Pani, że odkrusza tym stwierdzeniem duży kawałek fundamentu z piedestału, na którym Pani stoi? Wydawało mi się, że kobiety takie jak Pani już na pierwszym spacerze wiedzą, co powinny dostać, i gdy tego nie dostają, biorą to sobie same. I dopiero wtedy mówią „adieu”.

Bardzo miło mnie Pani zaskoczyła. Tym bardziej że ten piedestał ustawiły dla Pani głównie media i mężczyźni mediów. Może tylko po to, aby z dołu zobaczyć, jaką nosi Pani bieliznę. Jestem, podobnie jak Pani, za równouprawieniem kobiet, ale jednocześnie jestem także za podziałem ról przypadających mężczyznom i kobietom. Podobnie jak Pani uważam, że inicjacja pierwszej bliskości powinna wyjść ze strony mężczyzny. Tak jest naturalnie, bowiem – poza nielicznymi wyjątkami – tak to ustawiła ewolucja. Sufrażystki wychodziły wprawdzie na ulice z antyewolucyjnymi hasłami na sztandarach, ale tylko się tym ośmieszały. Demonstracjami nie zmienia się chromosomów.

Nie jestem znawcą kobiet. Pani zaskoczenie jest nieuzasadnione. To dziennikarze w recenzjach *Samotności w Sieci* zaczęli posługiwać się tym terminem, a po wydaniu *Zespołów napięć*, przykleili mi tę etykietę na stałe do czoła. Moje usilne starania, aby ją zdrapać, nie przynoszą na razie większego skutku. A chcę ją zdrapać, bo po pierwsze – niestety – nie należy mi się, a po drugie, mam uczucie, że tzw. znawstwo kobiet utożsamiane jest przez wielu z pejoratywnym „kobieciarstwem”. A ja nie jestem kobieciarzem. To, że w *Zespołach...* napisałem opowiadanie *Kochanka* w pierwszej osobie liczby pojedynczej rodzaju żeńskiego, nie oznacza, że znam kobiety. Oznacza tylko, że podjąłem ryzyko, aby opowiedzieć kobietę tak, jak ją postrzegam. A postrze-

gam ją jako lepszą część ludzkości, której mimo wszystko wiedzie się na świecie gorzej. I to nawet tam, gdzie już dawno równouprawnienie wpisano złotymi zgłoskami do najważniejszych aktów prawnych. Cokolwiek robią kobiety, muszą robić to dwa razy lepiej niż mężczyźni, by zostało to ocenione choć w połowie tak samo dobrze. Na szczęście – Pani sama wie to lepiej niż ja – nie jest to zbyt trudne, prawda? A jednak niesprawiedliwe. Paradoksalnie, w tym wypadku ta niesprawiedliwość tak naprawdę spotyka mężczyzn! Bo przy prawdziwym równouprawnieniu kobiety, nie zaniedbując niczego, mogłyby mieć przecież dla swoich mężczyzn dwa razy więcej czasu.

Ponadto wydaje mi się, iż przygotowywałem się to tego bardzo ucziwie. Jak naukowiec. Czytałem Angier, Freuda, Junga, Fisher, Wrighta, Domagalik, Graff, Dunin i Horney. Czytałem także Woolf, Nin, Jelinek i Plath... Ale nie tylko przecież czytałem. Słuchałem kobiet, gdy mówią o sobie, i potem długo myślałem o tym, co powiedziały. Czasami przy tych opowieściach starałem się nie tylko na nie patrzeć, ale też w nie zagłębiać... Spędziłem popołudnie i wieczór u ginekologa we Frankfurcie, aby wszystko wiedzieć z pierwszej ręki. Do dzisiaj walczę – trochę jak męska feministka – z moją niemiecką kasą chorych, aby zapłaciła za tę wizytę. W niemieckich kasach chorych nie ma bowiem równouprawnienia i mężczyznom odbiera się prawo do wizyt u ginekologa (śmiech). Studiując kobiecość przed napisaniem swoich książek, nie przygotowywałem na nie emocjonalnego zamachu, a tym bardziej wmawianego mi od czasu do czasu wielkiego, zbiorowego uwiedzenia.

Wzruszyła mnie Pani opowieścią o swoim ojcu, który w górach w Dzień Zaduszny czekał, aż zgasną znicze, które ze sobą zabrał. Dla mnie Zaduszki to także dzień, w którym chcę być sam. I tego dnia nie jestem wcale samotny. Moi rodzice zmarli tak dawno, że mam już za sobą osamotnienie

i pustkę, którą pozostawili, odchodząc. W Dzień Zaduszny chcę z nimi porozmawiać, poradzić się. Chcę także płakać. A płakać lepiej w samotności...

W Dzień Zaduszny zawsze przypomina mi się historia człowieka, który praktycznie każdego dnia zapala komuś znicz.

Pewien młody biedny lekarz ze Sztumu, który skończył studia w Gdańsku, przyjechał na praktykę do Getyngi. Na sześć miesięcy. Do kliniki. Lekarz kochał pewną Agnieszkę z Gdyni. Bardzo kochał. Pisał do niej listy. Dzwonił. Praktykując, czekał na powrót. Agnieszka z Gdyni nie czekała, nie pisała i nie telefonowała.

Napisała tylko raz. Po miesiącu. Że odchodzi od niego. Lekarz stracił sens życia.

Zaczął chodzić po górach w nadziei, że spadnie, latać na motolotni w nadziei, że silnik zawiedzie. Skakać ze spadochronem w nadziei, że się nie otworzy. Miał pecha.

Nie spadał w Alpach i Himalajach, silnik nie zawodził, a spadochrony zawsze się otwierały. Jedyne, co zauważył, to to, że w czasie lotu na motolotni i ze spadochronem wiatr genialnie osusza łyzy.

Był dobrym, zrozpaczonym lekarzem. Nie chciał wracać do Polski. Został w Getyndze. Przeczytał w gazecie, że poszukują lekarzy. Do szpitala dziecięcego. Do dzieci terminalnie chorych na raka. Koło Heidelbergu.

Wszystko, o czym można marzyć: śliczny, nowoczesny szklany dom w parku, tomograf SPIN i tomograf NMR, dwie sale operacyjne, helikopter do dyspozycji. Mieszkanie obok. Duże pieniądze. Etat do śmierci. Sale nasłonecznione. Kolorowe. Obok hotel dla rodziców. Sufity pokryte obrazami. Miś Puchatek, Myszka Miki, Simpsonowie...

W takich szpitalach obrazy są na suficie, a nie na ścianach, bowiem dzieci w większości ciągle leżą i nie mają nawet siły patrzeć na boki. Operuje się w najnowocześniejszych blokach operacyjnych. I bada za pomocą najnowo-

czeńszych urzędzeń. Tylko po to, aby dowiedzieć się, czy to miesiąc, czy może jednak czterdzieści pięć dni.

Najważniejszym miejscem i tak nie jest w tym szpitalu tomograf. Najważniejszym miejscem jest kaplica. Na początku rodzice tam nie chodzą. Ale pod koniec są tam wszyscy. Duża, przestronna, nasłoneczniona sala. Pod krzyżem duża metalowa tablica. Aby magnesem przypiąć do tej tablicy swoje pożegnanie. A przy wejściu do kliniki, zaraz za automatycznym drzwiami, jest inna tablica. Wcale nie magnetyczna. Zwykła korkowa. A na niej kolorowymi szpilkami przypięte są kartki. Stajesz i czytasz, kogo pożegnano ostatniej nocy. Obok kartek z imieniem i nazwiskiem są małe metalowe druciane koszyki przybite do tablicy gwoździem. A w każdym takim koszyku jest pluszowy misio albo lalka, albo nie ma nic. Gdy nie ma nic, to jest szczęśliwy dzień w tym szpitalu. Młody lekarz ze Sztumu, którego opuściła kobieta z Gdyni, już nie musi latać na motolotni. Nie chce już latać.

Nie jest szczęśliwy. Ale jest potrzebny. Znam go.

Serdecznie,

JLW



Panie Januszu,

nie do końca odczytał Pan moje intencje. Ja wcale nie uważam, że inicjacja pierwszej bliskości jest przypisana którejś ze stron. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi „zatruta” miłością strzała Amora. Wówczas nie ma ani zasad, ani ról do odegrania. Prawdziwa niezależność to ta, która pozwala mi robić to, na co w danym momencie mam ochotę. Nie hołduję więc żadnym podziałom, jeśli rzecz dotyczy szarych komórek. W niczym mi również nie ujmuje, a nawet lubię, gdy mężczyzna otwiera przede mną drzwi, nie siada, zanim tego nie uczynię, nosi ciężary, zmienia koło w samochodzie i podaje mi płaszcz. Mój feminizm na tym nie ucierpi, a tym bardziej męskie ego.

Nie jest Pan kobieciarzem? Panie Januszu? Idąc tropem Pana wczorajszego wywodu o emancypantkach, czyżby i Pan chciał, tak jak kiedyś one, zmienić znaczenie chromosomów w naszym życiu? Przecież w zgodzie z nimi każdy mężczyzna bez wyjątku, także Pan, jest kobieciarzem, i to na tyle, na ile pozwalają mu warunki i okoliczności zewnętrzne. Pamiętam, jak poruszyły mnie badania przeprowadzone na jednym z amerykańskich campusów, z których wynikało, że ponad 90 procent respondentów dopuściłoby się gwałtu, gdyby tylko uszło im to płazem. Gwałciciele, a co dopiero kobieciarze! Jak Pan widzi, mój feminizm nauczył mnie bardzo uważnego wczytywania się w słowa wypowiedane i pisane przez mężczyzn. Także przez Pana. Trzeba uważać.

Ta opowieść o nieszczęśliwie zakochanym lekarzu przypomniała mi historię, która wydarzyła się przed kilku laty. Żona jednego z moich znajomych zachorowała na raka piersi. Myła okna przed komunią syna i między jednym a drugim ruchem szmatki poczuła ból w jednej piersi. Ech,

to pewnie nic, może poczekać. Mądry profesor wziął Basię za rękę i drżącym głosem zapytał: dlaczego nie przyszła pani do mnie trzy miesiące wcześniej? Trzy miesiące. Basia chciała żyć, miała syna i córkę, i miała męża. Ostatnią kolację zjedliśmy tydzień przed jej śmiercią. Niemrawo grzebała widelcem w łososiu i co chwila pytała, czy spod szalika nie wychodzi jej dren. Kiedy umierała, błagała, żeby nie dzwonić do ukochanej córki, która tego ranka zdawała egzamin. Nie chciała jej martwić. Basia udusiła się. Był pogrzeb, szloch matki, która chowała swoje dziecko i, choć to brzmi kiczowato w tym momencie, na pochmurnym niebie pojawiło się słońce. Dlaczego o tym piszę? W trzy miesiące po odejściu Basi jej mąż się ożenił. To znaczy, jeszcze wcześniej kupił mikrofalówkę, parę książek kucharskich i gdy był już prawie pewien, że na tym właśnie polega prowadzenie domu, poniósł fiasko. Nie miał innego wyjścia. Musiał się ożenić. O nim zapomniałam, a do niej modłę się 28. dnia każdego miesiąca.

Dobranoc,  
MD

Pozwoli Pani, że jeszcze raz wrócę do „kobieciarstwa”, którym etykietuje Pani mnie i wszystkich innych mężczyzn przy okazji. Pozornie ma Pani rację i stoją za Pani racją argumenty całej historii ewolucji. Mężczyźni na całym globie łącznie kopulują 50 miliardów razy rocznie, co w sumie daje około miliona litrów nasienia dziennie. W każdej sekundzie na całym świecie produkują około 200 tys. miliardów plemników, co przekłada się na mizerne pięć urodzeń na sekundę. Kobieta może urodzić w ciągu całego życia nierelevantną statystycznie liczbę dzieci w porównaniu z liczbą dzieci, które w ciągu swojego życia jest zdolny począć mężczyzna. Mężczyzna – ewolucyjnie rzecz biorąc – ma ogromny przerost podaży (spermy) nad popytem. Już ten fakt biologicznie determinuje poligamiczną naturę mężczyzn. Jeśli chciał tak Bóg, to miał w tym prawdopodobnie jakiś cel. Jeśli chciała tak Natura, to także miała z pewnością w tym jakiś cel. Ostatnio dominują dwie teorie tłumaczące taką nadprodukcję nasienia u mężczyzn. Jedna z nich głosi, że tylko niewielka część nasienia jest zdatna do zapłodnienia, podczas gdy reszta od razu ginie, gdyż zawiera uszkodzony materiał genetyczny. Według drugiej teorii samiec musi mieć tak dużo nasienia, aby wygrać w rywalizacji z konkurentami. Żadna z teorii nie jest jednak wiarygodnym wytłumaczeniem tego nadmiaru podaży nad popytem.

Do tego dochodzi jeszcze testosteron, którego mężczyźni mają o wiele więcej niż kobiety. To zgubny hormon. Nie dość, że pcha mężczyzn w kierunku poligamii, to jeszcze skraca im życie. Wieloletnie badania na reprezentatywnych próbach wykazały, że wykastrowani mężczyźni żyją przeciętnie o 13 lat dłużej, a wykastrowani w bardzo młodym wieku nawet do 30 lat dłużej. Podczas gdy wymierali

właściciele haremów, ich strażnicy pozostawali tam dalej. Bywało, że ku radości mieszkanek haremu, które – jak pokazuje historia – często najlepszy seks miały właśnie z eunuchami.

W tych okolicznościach sytuacja mężczyzn nadprodukcujących spermę i pozostających nieustannie na „wysokim testosteronie” w pewnym stopniu tłumaczy wyniki badań z amerykańskiego kampusu, które Pani zacytowała. Z drugiej strony biologia ewolucji, antropologia i socjologia odchodzą od modelu, według którego geny determinują zachowania ludzkie. Obecnie ocenia się, że nasze zachowania są tylko w 50–60 procent zdeterminowane genomem, który odziedziczyliśmy. Reszta to wpływ środowiska, w którym przyszło nam żyć. Badania na jednojajowych bliźniakach (przeprowadzone na reprezentatywnej próbie w USA), które rozdzielono w wieku niemowlęcym, całkowicie to potwierdzają.

Poza tym nie mogę sobie wyobrazić, że dziewięćdziesięciu na stu mężczyzn, nawet z nadmiarem spermy w jądrach i testosteronem we krwi, zgwałciłoby studentkę na amerykańskim kampusie, gdyby zagwarantowano im bezkarność. Nie uważa Pani, że danymi statystycznymi można tak manipulować, aby udowodnić własną tezę? Nie ma nic bardziej przekonującego niż ładna tabela z danymi statystycznymi. Wielu naukowcom wydaje się, że jak pokażą liczby, to nikt na sali nie pozna, że uwikłani są w sofizmaty. Statystyka wprawdzie nie kłamie. Ale kłamią statystycy. Przypomina mi się tutaj zabawne zdanie, które wypowiedział kiedyś Winston Churchill: „Nigdy nie wierzę w statystykę, której sam nie zmieniałem”.

Ale zostawmy statystykę i spermę. Inicjacja pierwszej bliskości jest o wiele ciekawsza. Znajduję wiele uroku w tym zdaniu. Tak się zdarzyło, że właśnie dzisiaj miałem do tego szczególny powód.

Zadzwoił do mnie Michael, mój niemiecki przyjaciel. Od trzech lat zawsze dzwoni do mnie 5 listopada. Trzy lata temu o czwartej nad ranem przyszedł do mojego mieszkania, zapukał do drzwi i zapytał, czy napiję się z nim wódki. Miał ze sobą do połowy wypitą butelkę polskiej żytniówki i zapytał, czy możemy pogadać. Uważał, że w Niemczech tylko do Polaka można przyjść o czwartej nad ranem i poprosić o rozmowę. Niemcy – tak uważa Michael – jeśli nie sprowadziliby policji, to z pewnością zadzwoniliby po karetkę pogotowia i poprosiliby, aby lekarzem w karetce był psychiatra. Nie wypilem z nim wódki (nie piję wódki, co jest dla Michaela ogromną ciekawostką i łamie jego wiarę w narodowościowe stereotypy), ale otworzyłem wino. Siedzieliśmy w kuchni. Ja przy argentyńskim merlocie, on przy polskiej żytniówce, i rozmawialiśmy.

Michael miał wówczas 37 lat i od dwóch lat mieszkał z dwudziestopięcioletnią dziewczyną. Któregoś wieczoru poszli na wernisaż do Muzeum Sztuki Nowoczesnej we Frankfurcie i tam spotkał Ewę. Michael twierdził, że było to jak porażenie piorunem. Najbardziej poraziło mu mózg. Od tego wernisażu nie mógł przestać o niej myśleć. Z pomocą przyjaciół organizujących ten wernisaż zdobył jej numer telefonu. W trakcie pierwszego wspólnego spaceru wyciągnął rękę po jej dłoń. Po trzech miesiącach wprowadził się do niej. Właśnie wtedy, trzy lata temu, dokładnie 5 listopada, miał spędzić z nią swoją pierwszą noc jako „jej mężczyzna”. Cierpiał, uważając, że zdradza i rani swoją kobietę. O czwartej nad ranem także cierpiał. Nie mógł sobie z tym sam poradzić. Chciał o tym z kimś porozmawiać. Trafilo na mnie.

Ewa trzy lata temu miała 57 lat, nie była po żadnej operacji plastycznej i starzała się w normalny sposób, niezakłócony przez wizażystki, botoks, zastrzyki z kreatyny czy głębokie peelingi, po których przez tydzień nie można wychodzić z domu, aby nie przestraszyć sąsiadów. Michael

opowiadał mi tej nocy – z rozczuleniem o jej mimicznych zmarszczkach, z podziwem o mądrości i z radością o tym, że po raz pierwszy w życiu spotkał kobietę, przed którą nie musi niczego udawać. Michael zakochał się w Ewie. Od roku są szczęśliwym małżeństwem. Na jej sześćdziesiąte urodziny zaprosił ją na kolejny wernisaż do muzeum sztuki nowoczesnej. Tym razem do Nowego Jorku.

Po telefonie Michaela dużo myślałem o miłości. O tej, dla której wszystko stawia się na jedną kartę, i o tej, dla której nie robi się nic, pozwalając jej umrzeć. A przecież nie musi być tak skrajnie, może być inaczej. Ile czasu musi upłynąć w życiu człowieka, aby zrozumiał, że miłość trzeba pielęgnować? Myślałem również o tym, czy ten czas już w moim życiu nastąpił i czy ja to już także rozumiałem. Niestety, nie. Nie rozumiałem...

Przypomniało mi się w tym momencie zdanie, które zawsze wraca, gdy myślę o miłości. Kiedyś zapytano księdza Jana Twardowskiego, jak się powinno pielęgnować miłość. Odpowiedział: „Jak dziecko, żeby nie zaziębiła się, nie zwarowała i nie uciekła”.

Myśli Pani, że można być ciągle zakochanym, nawet po pięćdziesięciu latach małżeństwa? Wierzy Pani w jedność i przenikanie się zakochanych dusz? Myśli Pani, że pragnienie rozmowy i sama rozmowa kobiety z mężczyzną jest tym, co łączy ich bardziej niż chemia pożądania? Im dłużej żyję, tym bardziej się przekonuję, że tak jest w istocie. Może nie wystarcza mi sam fakt, że jestem kochany. Może chcę wiedzieć, dlaczego jestem kochany. A to wymaga rozmowy. Zgadza się z Theodore’em Zeldinem, francuskim filozofem i pisarzem, który w swojej książce *Rozmowa* (wydanej w Polsce przez W.A.B., Warszawa 2001) ubolewa nad faktem, że kobiety poświęcają więcej namysłu makijażowi niż rozmowie. Z drugiej strony Zeldin chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, jak mało czasu, jeśli w ogóle, namysłowi nad rozmową z kobietą (którą już zdobyli) poświęcają mężczyź-